

UŁAMEK

Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

(Ciąg dalszy).

Naśladujcie miłość, starajcie się o dary duchowe,
lecz najwięcej o to, abyście prorokowali.

Rozd. XIV do Koryntów.

Kończyłam rok piętnasty, kiedy się rodzice moi przenieśli na wieś.

Pierwszy raz ujrzałam świat za murami wielkiego miasta; świat bez ciasnych ulic, bez wysokich domów, bez okazałych a cuchnących śmiercią pałaców, bez ludzi nagich lub strojnych w kosztowne łąchmany, bez cnoty, bez zbrodni, bez świątyń, bez więzień!... Świat, jakim go Pan Bóg stworzył: niepokalany, wielki, cudowny, harmonijny; w którym życie jest pieśnią uwielbienia, miłością, szczęściem!

Domek nasz drewniany, czysty, bielony, otoczony ogrodem, stał jakby w koszyczku na zieloném wzgórzu po prawej stronie Wisły, która szerokiém korytem rozlana płukała piaszczyste brzegi swoje, i hojnie podlewała wierzbowe kolki, przyszłe wiano dziewcząt nadwiślańskich.

Ojciec miał książki, matka gospodarstwo, ja, moję izdebkę na poddaszu, istną kapliczkę: czystą, cichą i poważną. Był to cela ascety, pustelnika, jeżeli chcecie, w której praca i myśl były sprzętem i ozdobą. Z okna mego widziałam najprzód niebo, potem Wisłę, a duch mój płynął w niebo jak Wisła do morza niczem niewstrzymana, nieukrócona. Za Wisłą leżało miasto: grób starych a krwawych pamiątek, przed którymi się mimowolnie wzrok

i serce cofało. I były tam zapewne straszniejsze rzeczy od krwi samój, bo łzy i cierpienia!! Dziwniśmy ludzie! dziwni. Patrząc na rany, na kalectwo, poczuwamy się prawie zawsze do obowiązku litości; a rany serca, a tęsknota, a zwątpienie, a trwoga o ukończonych i to wszystko co jest męką ducha, to się płaci śmiechem szyderskim!? Oburzamy się na krew, choć to krew tylko; a łzom urągamy, które są potem i krwią ducha naszego!!... Toż, kiedy kto syty, odziany i niebity, a cierpi i płacze krwawymi łzami, to nań świat patrzy jak na szalonego! Wy co płaczecie, nie dziwcie się światu; bo on tylko jest ciałem, a wy duchem jego; on błędem, a wy pokutą i odpuszczeniem błędu. Zrozumieć wam trzeba, że święci nie płaczą z bólu lub z niedostatku, ale płaczą jak Zbawiciel nad Jerozolimą i nad Łazarzem.

Jeszcze jedno moje dziwactwo. Oto nie lubię pamiątek murowanych, ani ręką ludzką z żelaza wykutych, które najczęściej bywają tylko urągowskiem prawdy. Te pamiątki są żywe, te pomniki trwałe, które zbudowano w sercach i spadkiem testamentowym przekazano z pokolenia na pokolenie, z wieków na wieki! Kto czynem przeżył siebie, złym czy dobrym, ten sobie za życia zbudował wieczny pomnik hańby lub chwały; pomnik, którego wichry nie roztluką, woda nie zaleje, ogień nie spali. Mniejsza o mur, o żelazo, o drewno dla tych, którzy sobie nieśmiertelność życiem zawarowali. Jak na kogo... Na mnie, mury choćby stare, choćby pleśnią okryte nie robią wrażenia, nie dają życia, ale zniechęcenie. I dlatego ilekroć wyjrzałam oknem, wołałam patrzeć na świat żyjący, wiecznie młody, piękny i odradzający się sam z siebie jak ów ptak złotopióry, co z popiołów własnych zmartwychwstawał.

Patrząc na tę niezmierną świątynię Pańską, na ten panteon cudów wszechmocy Bożej, czułam jak mi ogień z piersi do twarzy wytryskał, i w uniesieniu zakrzyknęłam: Ojcze! Ojcze wielki! wielki! Zrozumiałam co to modlitwa, natchnieniem piękna wywołana, ale słów do niej nie było.

Słońce w dyamentowej koronie opromieniło dziedzinę ludzką, wszystko co było martwe, zimne i smutne, rozlało ciepłem, życiem, weselem. Wszystkie twory ziemskie pojmowały instynktem prawo Boże, i każde z nich znajdowało dla siebie dostatek rzeczy potrzebnych.

Kwiaty nie zazdrościły sobie barwy, woni, kształtów; nie wydierały sobie wzajem ani światła niebieskiego, ani soków zie-

mi. Żywiły się w miłości razem, i dziękczyniły słońcu za światło, ziemi za pokarm.

Ptaki niebieskie leciały w niebo z wieścią o ziemi karmicielce swojej i opowiadały słońcu o braciach do ziemi przykutych, którzy wzlecieć nie mogą, bo skrzydeł nie mają, a łakną promieni słonecznych.

Zwierzęta w jarzmo ludzkie wprężone uginały kark pod brzemieniem pracy i znoju; lecz nie czując w sobie przyrodzonej siły, któraby im to brzemie lżejszém uczynić mogła, poddawały się w milczeniu woli pana swego, człowieka, który je za to ze wzgardą bydlętami nazywał. Biedne bydlęta! pomyślałam sobie; czemuś im Panie dał siłę, której ani uznać w sobie umięją, ani Ci za nią dziękują szczęściem i spokojem?!

Płazy i owady podziwiała siłę braci swoich w jarzmo ludzkie wprężonych, i litowały się ich niedoli, nie zazdroszcząc im darów Bożych.

Łąd i woda ustępowały sobie wzajem, niebo i ziemia wyciągały ku sobie ramiona, świeczniki niebieskie zapłonęły w przestrzeni, jasno, wspaniale, i stała się na chwilę cisza w przybytku Pańskim; gdy między niebem a ziemią, między Bogiem a tworam i jego stanął człowiek, i promieniem Bożym w piersi swęj tlejącym ośwładał wszystko, co nierozumne i martwe. Stanął jako kapłan w świątyni Pańskiej, ciałem na ziemi, z myślą w niebo płonącą, i rzekł w modlitwie ducha swego:

„Panie! niech Ci się podoba udzielić mi darów potrzebnych, abym świątynię Twoję uchował od wszelkiej zmazy, i aby wszystkie dzieła rąk Twoich stały ci w niebo pieśń dziękczynną, a nigdy ku Tobie nie wzniosły skargi; bo skarga ich, byłaby potępieniem mojem. I daj mi Panie zrozumienie woli Twojej przedewszystkiem!”..

A Pan mu odrzekł:

„Wolą moją jest, abyś był szczęśliwym w niebie, na ziemi, i na każdym miejscu. Serce twoje uczyniłem rajem na początku; bo wszystko co z rąk moich wyszło, wyszło święte i czyste! W raju serca twego założyłem panowanie moje, i szczęście twoje, jako rękojmnią przyszłego zbawienia w królestwie mojem! Dopóki bez trwogi patrzeć możesz w to serce, wierz: iżeś zbawiony; lecz jeżeliś je w piekło zamienił, tego piekła nikt ci z piersi wydrzeć nie potrafi!.. A wszakże potępieńców nie chcę ja na ziemi! Jam złego nie stworzył! Jam świętość zlał na dziedzinę ludzką, i świę-

tość z niej zbierać żądam! *A świętość jest tajemnicą!* Przeto mądrość ludzka wyczerpywać się będzie w dociekaniach; siłą dobierać się zechce człowiek do dna owęj przepaści; prorocy nie przestaną o niej prorokować; pobożni modlić się o nią we łzach i w postach, a wszakże nie objawi się ona nikomu, jedno ludziom czystego a gorącego serca, ludziom miłującym Boga i bliźniego; tym dane będzie zrozumienie zakonu i proroków, aby sami w Imię moje prorokowali!."

„A teraz synu człowieczy ktokolwiek jesteś, uczyć się będziesz zrozumienia słów moich po wszystkie wieki, bo słowa moje są doskonałością i celem twojego żywota!"

I zamilkł głos Pański.

A całe stworzenie odwodziło głosowi temu pieśnią uwielbienia: Święty! święty! święty!!

Lecz kiedy człowiek rozpamiętywał w ciszy serca swego niepojętą tajemnicę świętości, ozwał się w sumieniu jego głos inny. Ten głos wgrzyzał się jadem żmii, wsączał po kropli, i z wolna wypalał w sercu miłość Boga i bliźniego. Wtedy myśl człowieka pochylała się ku ziemi, i zamieniała się w gadzinę niecných pokus, aby mu kiedyś była przekleństwem; ta, co się w łonie samego Boga poczęła. I nadszedł czas, w którym mądrość ludzka rzuciła kłutwę na myśl i uczucie.

Człowiek uwiedziony potępił w sobie boskość, tak, że serce stało mu się piekłem, myśl potępieniem, wola Boża kazią! a życie — śmiercią!

Aniołowie płakali w niebiesiech nad upadkiem człowieka; on jeden nie płakał nad sobą, upodobawszy sobie w nicości swojej, i powtarzał to jedno przez długie wieki: „prochem jesteś, w proch się obrócisz!" Odtąd nadzieja stała się dlań bluźnierstwem. I to mu tylko było wiarą, co widział; a to miłością, czego nie widział. Wierzył w złe obecne, bez nadziei w dobro przyszłe; miłował Boga niewidzialnego, a nienawidził brata w którym mu się Bóg uwidomił. Odtąd raj ziemski stał się padołem płaczu, a człowiek powołany do królestwa Bożego, został potępieńcem.

Kiedy mi się ten świat stworzony tak przed oczyma duszy rozwijał, patrząc nań, pomyślałam sobie: czyby mu nie lepiej było bez ludzi? i czy nie lepiej byłoby ludziom bez świata? I uczułam natychmiast, że myśl ta była bezbożną, że bluźniła najwyższej mądrości i przeciwiała się celom Stworzyciela. Myśl moja upokorzyła się natychmiast przed myślą Boga, ciemność ustąpiła światłości,

i zaczęłam się modlić najgorętszą modlitwą serca, aby mi Pan dał widzenie tego, co jeszcze być ma przed skończeniem wieków..., i aby otworzył przedemną drogę doskonałości, chociażby ta droga prowadzić miała pod górę Kalwaryi!.. Bo życie powszednie, cnoty powszednie, nie wystarczały żądzy mojej wielkiej jak świat, świętej jak zbawienie!

I zrozumiałam, że wydzieranie się ducha naszego z teraźniejszości, to najczystsza modlitwa nasza; to poemat nadziei przeczący prozie rzeczy dokonanych, skończonych, teraźniejszych i przeszłych!

Tak nas Bóg stworzył w mądrości swojej, że czego rozum nie wymyśli, to serce przeczuje, wywieszczy, wymarzy. Sercem też lecimy w przyszłość; pamięcią żyjemy tylko w przeszłości, rozumem w teraźniejszości. A co z tego trojga najlepsze?... — Serce i przyszłość!.... To też tylko ludziom serca, ludziom uczucia dane jest pożądanie i jasnowidzenie rzeczy przyszłych; bo i czymże byli prorocy wszystkich miejsc i wieków, jeżeli nie ludźmi uczucia?!

Ale powiadają nam znowu ludzie słabiej wiary a małych nadziei: „Czy my tylko wiemy napewno czego chcemy? i czy to, czego dziś najgoręcej pożądamy, osiągnięte w czasie, nie wyda nam się jako cacko złamane, żądzy mądrego człowieka niegodne?! Przecież to są rzeczy stare jak świat, powtarzane na każdej karcie dziejów ludzkości: *pożądanie, dobiecie się celu i zniechęcenie do rzeczy osiągniętej.*”

A ludzie silniej wiary odpowiadają im: „I cóż ztąd za wniosek? Wprawdzie, mędrcy pewnego wieku wywiedli z tego najzgubniejszy dla człowieka system, to jest: — pogardę doczesności i rozbrat z życiem ziemskim; a całą nadzieję złożywszy w śmierci, stracili wiarę w odkupienie. Mybyśmy sobie inaczej chcieli wytłumaczyć te dziwne sprzeczności w duchowej naturze człowieka: my wolimy w niej widzieć ręką postępowości; nie żądzę osobistą, ale potrzebę udoskonalenia tego, co jest, w nieskończoność, w Boskość samą. A jeżeli nie poprzestajemy na tém, co w możności naszej uczynić obecnie, to dlatego, że duch nasz przeczuwa przyszłość doskonalszą, że się ku niej rwie pomimo woli naszej, że łaknie tego zbawienia, które dlań ojciec niebieski zgotował.”

Kto nie czuje w sobie tej żądzy, kto poprzestaje na tém co jest, i nic lepszego nie przeczuwa: tennie zna ani Boga, ani siebie.

Zakonodawcy wszystkich wieków, którzy, jako gwiazdy przewodnice narodów, od czasu do czasu pojawiali się nad ziemią ciemnościami okrytą, byli to także prorocy. Oni nigdy ducha ludów swoich w teraźniejszości nie zagrzebywali. Oni wzrokiem orłów przenikali odległe wieki, i w pełnych tajemnic wyrazach opowiadali maluczkim przyszłe królestwo Boże.

Każła księga mądrości zawiera właściwe duchowi swemu słowa *Vedasa*, których się Brama uczyć kazał mędrcom swoim do skończenia świata; a chociaż niejeden świat już przeminął, mędracy uczą się jeszcze i rozmyślają zawarte w nich tajemnice.

Z przybyciem na wieś rozpoczęło się dla mnie życie zupełnie nowe.

Muszę tu powiedzieć, jakim sposobem okoliczność napozór mało znacząca przekształciła wszystkie moje wyobrażenia; a jeżeli nie przekształciła, to przynajmniej nadała pewny, obmyślany kierunek bezcelnym dotąd marzeniom moim.—Aż do owiej chwili, uczyłam się jak Pan Bóg zdarzył; mało czytałam, a mniej się jeszcze domyślałam, co by te stopy nagromadzonych po sklepach książek zawierać mogły. Ciekawości, jak na kobietę, miałam niewiele; może dlatego, że mi niania kiedyś powiedziała: „Ciekawość, to *piérwszy gradus do piekła*”. Dziś radabym wiedzieć z kąd to podanie urosło?—Mniejsza o to. Dosyć na tém, że z natury niebardzo się rwałam do książek, a te, które mi w ręce przypadkiem wpadły, nie podlegały bynajmniej do zapamiętałego czytelnictwa.

W dzieciństwie mojem słyszałam nieraz, jak mężczyźni z ironią mówili o uczonych kobietach, jak same kobiety z przekąsem wymawiały wyraz *autorka*; wyraz, którego wówczas nie rozumiała, a który mnie jednak trwogą przejmował. Czemu?—Alboż ja wiem!

Otóż jednego wieczora kazała mi matka uporządkować książki pozostałe po ś. p. dziadku moim. Było tam wszystkiego pod dostatkiem: i prozy, i poezyi, i filozofii, i teologii i historyi. Kto inny byłby się ucieszył widokiem tylu ustawionych w szeregi i pięknie oprawnych rozumów ludzkich; mnie nawet pokusa nie brała dowiedzieć się nazwiska owych mądrych pisarzy. Było prawdziwie grzech niewiedomości; i dlatego musi znaleźć odpuszczenie. Otóż na samym spodzie szafy znalazłam dwie książki zbrudzone, prawie zdarte (spadź dużo i często odczytywane), w grubych okładkach, bez przedmowy i bez nazwiska autorów:

byłyto ewangelie i O Naśladowaniu Chrystusa. Księgi, jak powiadają, z nieba ludziom podane.

Nie spowiadając się z tego nikomu, wzięłam je sobie do mojej izdebki; najprzód zaczęłam przerzucać kartki, czytać od końca ku początkowi, potem od środka ku końcowi, a potem znów od początku. Niewiele mając narzuconych sobie z góry wyobrażeń, przystąpiłam ze swobodnym umysłem do rozpamiętywania wielkich prawd, wielkich tajemnic, które ludzkość z grzechów jej odkupić, i w królestwie Bożem zbawić mają. Dlatego więc tam, gdzie się pospolicie myśl ludzka cofa, kurczy i zwija trwogą i zwątpieniem przejęta: tam się przedemną rozwijał coraz jaśniejszy widnokrąg, coraz wspanialsza droga! Była to jazda powietrzna po gwiazdach, po planetach, dalej ku słońcu, ku światłu, ku Bogu! Wszędzie mi było jasno, spokojnie, błogo: bom wszędzie widziała Boga wszechwładnym, mądrym, a miłującym stworzenie swoje!

Pierwszy raz w życiu objawiła mi się w książce prawda, którą w sobie i naokoło siebie czułam, alem jej z siebie nie umiała wydobyć na zewnątrz, ani ją sobie przedstawić w pewnych kształtach ziemskiego przeznaczenia. Jak dziś jeszcze dla wielu, tak dla mnie naówczas tajemnicze wyrazy pisma św. miały czysto abstrakcyjne znaczenie; zaledwie domyślałam się w nich zasady życia, a przecież na słowo Pana uwierzyłam, że one są zbawieniem tych, którzy mieć będą miłość.

Uwierzyłam, że obwarować prawdę jakimś czasem, lub jakimś miejscem, byłoby to samo, co ją zabić w duszach naszych; że położyć jakiś kres udoskonalenia się w miłości bratniej, uczynić ją warunkową, od pewnych form zależną, byłoby to samo, co przeczyć jej potędze. Uwierzyłam, że im silniej wzrosnę w myśl i uczucie, tém bliższą będę Boga, źródła miłości i prawdy.

Spotkanie się moje z ewangelią na samym wstępie do życia, wpłynęło stanowczo na całą moją przyszłość i rozwinęło wrodzone usposobienie do cudownych marzeń. Nocy bezsenne schodziły mi na rozpamiętywanie słów Pańskich, które się coraz wyraźniej przedstawiały myśli mojej. Czytając o powołaniu wybranych, zdawało mi się, że i ja muszę być świętą; a świętość pojmowałam w pierwszej chwili mego nawrócenia, tylko w oderwaniu się od ziemi, tylko w najwyższym stoicyzmie serca! Szczęścia miałam zadość! więc cierpienia pragnęłam, aby się stać podobną temu, który cierpiał za wszystkich! Myśl puściłam w niebo, i modliłam

się o zrozumienie tajemnic, o dar prorocstwa, o zbawienie; nie wiem czy własne, gdyż siebie nie czułam w modlitwie mojej i nie śmiałam prosić Boga za sobą i dla siebie, pomnąc na słowa Mistrza: „*Nie wieście o co prosicie.*” Modlitwa była mi potrzebą, nie zasługą; i była taką, jak owe pierwszych zborów chrześcijańskich natchnieniem wywołane modlitwy, które dotąd świat bezmyślnie powtarza, bo nowych stworzyć nie zdolen!

Daj mi Boże! i daj wam Boże! żyć życiem takim w niebie, jakim ja żyłam na ziemi, kiedy Pan otworzył przedemną księgę żywota, jedną i drugą: księgę *prawa Chrystusowego*, i księgę stworzenia. Jam miała wówczas chwilę Mojżesza na górze Synajskiej, i chwilę uczniów Pańskich na szczycie Taboru, kiedy w zachwycie serca rzekli: „Dobrze nam tu!” Dziś mówię o tém, nie wątpiąc, że każdy powołany jest do królestwa niebieskiego; że i najgorszy i najlepszy z nas musiał mieć aby jedną chwilę w życiu, która mu niebem zapłonęła, prawdą zabłysła, miłością rozgorzała; inaczej, nie byłby człowiekiem stworzonym na podobieństwo Boże. Ta chwila w życiu jest mu namaszczeniem i utwierdzeniem w wierze, ilekroć nań szatan pokusą zwątpienia uderzy!

* * *

Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź brząkająca. I choćbym miał prorocstwo, i wiedziałbym wszystkie tajemnice, i wszelką umiejętność, i wszystką wiarę, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał: nicem nie jest.

Paweł św. do Koryntów, rozdz. XIII.

Mieszkając na wsi, mniej się podobno jest na ustroniu, niż w zgiełku wielkiego miasta. W mieście żyjesz jak ci się podoba, przyjmujesz kogo chcesz i kiedy chcesz; wolno ci w każdej chwili drzwi zamknąć przed nosem gości, zostawując im prawo odwetu, lecz nie obrażając bynajmniej ustaw modnego świata, gdzie się ludzie odwiedzają sami nie wiedząc na co i po co? Na wsi, znów rzecz inna. Jeżeli masz sąsiada jednego, drugiego a trzeciego, to obliczysz się, znajdziesz zaledwie dwa dni w tygodniu bez zjazdu z tłumokami, z dziećmi, z końmi, bodaj nie z całym inwentarzem ptasim i czworonogim, które ci dom do góry nogami przewrócą, spiżarnię wypróżnią, ludzi domowych umęczą, a ciebie samego na śmierć zanudzą; jeżeli *nota-bene* nie masz córek na wydaniu, w karty nie grywasz, i plotek nie lubisz.

Były i u nas takie zjazdy, rzadsze, niż gdziekolwiek, ale były. Żeby więc dać jakie takie wyobrażenie o życiu towarzyskiem, to jest o przyczynie zbliżającej ludzi do ludzi, a czasem *nieludzi* do *nieludzi*; muszę koniecznie, choć wiem że najniezgrabniej, odszkicować niektóre egzemplarze szanownych sąsiadów naszych.

Przyczyny zbliżające ludzi do siebie, stanowiące siłę atrakcyjną pomiędzy Pawłem a Gawłem, są najprzód interesa czysto materyjalne, potem widoki nadal, czasem ciekawość, czasem próżność, a zawsze wielki, żelazny egoizm, pod złoconą blaską przyjaźni. Jednym słowem co dotąd wiąże ludzi pomiędzy sobą?... Oto—złoto, błoto, dym i śmieci! To mi cyment! To mi spojnia! I dlatego tak wszystko pięknie i szczelnie spojone?!

Więc mówmy o sąsiadach, jak można najgrzeczniej i najostrożniej, ale mówmy prawdę, historyczną, niezmyśloną prawdę.

Sąsiedztwa nasze podzielę na cztery strony świata, jak kiedyś mowa o granicach państwa. Od północy mieszkał pan Kalasanty, wdowiec milionowy a bezdzietny, jak opiewa legenda dobrokowicz i dziedzic pól rozległych, na którychby się same chwasty rodzić powinny, gdyby się sprawiedliwość boska zawsze objawiała w stosunku do zasług naszych, czyli, jak mówiono klasycznie, gdyby Jowisz nie był oślepił Plutusa na szkodę pocciwych ludzi... Pan Kalasanty było człowiek *co się nazywa*, postępowy; w wielu względach nie czynił jak drudzy, i miał swoje wolą: złą, czy dobrą, w to już nie wchodzi. Uznana wyższość jego w całej okolicy da się najlepiej wytłumaczyć owym przysłowiem: *iz w królestwie ślepych, jednooki może być królem*. Owoż zacny ten obywatel nie grywał w karty, chociaż się do niego sąsiedzi na partye zjeżdżali; polowania nie lubił, bo chromał na prawą nogę i wzrok miał tępy; wina nie pijał, bo się lękał pedogry; ale piorunował na przesady, skupował nowe książki w pięknych okładkach; zaprowadzał maszyny dla oszczędzenia pańszczyzny, i gospodarstwo płodozmienne dla poprawienia gruntu; urządzał gorzelnie i pędził po 16 kwart okowity z korca kartosli; ustanowił miejscową monetę dla zapobieżenia demoralizacji włościan, którzyby się inaczej na cudzej gorzałce rozpić mogli i wynosiliby gotówkę do sąsiednich karczem; —nakoniec zamyslał nawet o założeniu szkółki dla dzieci wiejskich, gdzie miejscowy organista wykładać miał nowy katechizm i nowy kodex obowiązków parafii względem dworu i kościoła.

Byłto, jak widzicie, wzorowy gospodarz, człowiek *porządny*, sprężysty, może nawet nieco *zasprężysty*, kiedy chodziło o utrzymanie porządku w jego machinie gospodarskiej. We włości jego było wszystko pomalowane, ogrodzone, oczyszczone i utuczone, wszystko, — ludzi wyjąwszy; którzy w pomalowanych chałupach nie mieli się przy czém ogrzać na zimę, ani czém od głodnej śmierci zachować na przednówku.

Panowie obywatele rozmaicie mówili o panu Kalasantym: wyśmiewali, obmawiali za oczy, odgrążali się nawet na seryo, jeżeli się np. któremu worał w granicę lub zarwał przypadkiem kawałek lasu; ale zawsze miliony JW. Pana miały swoje znaczenie i chroniły go od procesów z uboższymi sąsiadami.

Oprócz wszystkich innych zalet, miał jeszcze sławę głęboko uczonego dyplomaty, bo czytywał gazety drukowane w pięciu europejskich językach, rozprawiał o zmianach ministerjalnych, domyślał się tajemnic gabinetowych i ze wszystkiego wyprowadzał wielkie wnioski, ważne wstrząśnienia, które z trójnoga delfickiej wyroczni zaciekawionym sąsiadom swoim tłumaczył.

Co jeszcze?... Oto przesiedziawszy z chorą żoną lat kilka we Włoszech, rozbudził w sobie uwielbienie do sztuk pięknych, do muzyki, może nawet i do poezyi; tak dalece, że wróciwszy do kraju postanowił z synowicy swojej Jadwisi zrobić artystkę, chociażby go ta metamorfoza najwięcej kosztować miała. I stało się wkrótce zadosyć woli pana, gdyż po kilku latach mitregi za granicą, powróciwszy do domu, zyskała Jadwisia szeroką sławę w całym powiecie, jako znamienity talent muzyczny. Sąsiedzi i sąsiadki zjeżdżali się tłumnie, aby podziwiać i uwielbiać to, czego zrozumieć nie mogli; a pan Kalasanty nie omieszkiał każdemu z przybywających opowiadać od jakich mistrzów synowica jego brała lekcye za granicą, i wiele go to wszystko kosztuje.

— A jednakże—dodawał—zrobiłem to poświęcenie, bo dla panienki wychowanie jest najpiękniejszym posagiem; a wiadomo każdemu, że wychowanie bez muzyki, dziś, kiedy wszyscy grają, żadną miarą obejść się nie może. Bogiem a prawdą, na rozumie nie każdy się pozna, a nawet nie wszyscy go lubią; ale z muzyką, panie! to gdzie chcesz zajedziesz: wszędzie cię przyjmą z otwartemi rękami, bo co odgłosne, to się ludziom podoba. Alboż nie widziano temi czasy niejednego głupca rozpierającego się ze skrzypcami na hrabiowskich i książęcych fotelach, kiedy znów niejeden

uczony i zasłużony za drzwiami wyczekiwać musi z biletem na prenumeratę nieśmiertelnego dzieła.

— Wielka prawda! — odezwał się poważny starzec — doszedłem jój doświadczeniem i pracą lat wielu; pisałem i drukowałem to, com w nocach bezsennych z młodzieńczego ducha wysnował, i nikt mi za to nie powiedział nawet: Bóg zapłać! Przyszedł czas, iżem się pogniewał na książki; a synom moim kazałem grać i tańcować, kiedy świat taki chory, że się odurzać musi, aby tylko boleści swoich zapomnieć....

— No, widzicie, panie Stanisławie, nie ubliżając wam literatom, książki i nauka sąto bez wątpienia piękne rzeczy; ale i to przyznajcie, że muzyka, że sztuki w ogóle niezmierny wpływ wywierają na ducha ludzkiego, że rozbudzają w nim uczucie i zamiłowanie piękna, że go czynią tkliwszym na cierpienia bliźniego....

— O! co do tego to przepraszam, i gotów jestem stanowczo zaprzeczyć tego zbawiennego wpływu muzyki na uczucie ludzkie. Nie teorią, ale doświadczeniem przekonany i nauczony śmiem twierdzić, że sztuki piękne w ogóle, a muzyka w szczególności, zaledwie działają na zmysły, na przytępione zmysły nasze! Działają na wzrok i na słuch, tak, jak inne przyjemności działają na smak i na powonienie. Gdyby było inaczej, gdyby sztuki piękne jakkolwiek wpływały na uszlachetnienie, na umoralnienie ducha naszego, toż ludzie otoczeni arcytworami piękna, ludzie napawający aż do przesyty zmysły swoje arcydziełami sztuki, powinni być archaniołami, cherubinami, serafinami wśród innych.. A czém są?.. to wiecie...

— Ależ, Mości Dobrodzieju, pan jesteś młody i występujesz z taką herezyją, wprowadzisz dokumentną, ale zawsze sprzeciwiającą się opinii całego świata. Jak można nie lubić muzyki, kiedy ją świat cały lubi?! To istotne dziwactwo! Przecież drapieżne zwierzęta łagodnieją przy odgłosie harmonijnych tonów; przecież dzikie ludy nie obojętne są na dźwięki muzyczne, a pan zaprzeczasz stanowczo sztukom wpływu na uczucia.

— Zaprzeczam i dowodzę, że zwierzę drapieżne, że człowiek dziki ma tylko zmysły rozbudzone do przyjmowania wrażeń, i dlatego je tak, jako i my przyjmuje: łagodnie na chwilę, ale swój dzikićj natury się nie pozbywa.

— Ależ panie! bój się pan Boga! Czémże byłaby Grecja bez muz swoich!? bez arcytworów sztuk!? Oneto usposobiły ją do

przyjęcia wiary świętej przez uwidomienie pięknych ideałów, któreby inaczej do jej ducha nie trafiły.

— Przepraszam panów, że śmiem tu występować z protestacją, chociaż bynajmniej do tego nieupoważniony; ale niech mi wolno będzie stanąć w obronie moich indywidualnych przekonań, chociażby te nie zgadzały się nawet z historią starożytnych Greków. W każdym razie niegodzi nam się zapominać, że czém była Grecya i jej muzy, tém my pod żadnym względem nie jesteśmy. Grecya tak żyła ideałami sztuki, jak my powietrzem. Muzy jej mieszkaly na Parnasie nie troszcząc się o byt materyalny; i dobrze im było! Artysta grecki był artystą z natchnienia; duch jego miał siłę elektryczną przenikającą do głębi ducha narodu: wieniec bluszczowy i pokłask ludu były mu chwałą i nagrodą. A nam, którzy mówimy o wpływie arcytworów sztuki na uczucie, nam ludziom zmysłowym i zmateryalizowanym aż do rdzenia duszy, nam powietrze, wieniec, pokłask nie wystarczą! I gdzież wątpliwość, że zmysłami tylko przyjmujemy wrażenie, które niegdyś ludy przyjmowały duchem z ducha artysty!?

— To wszystko prześliczne, mój panie Kazimierzu, ale strasznie niezrozumiałe! I co do mnie, podzielam zdanie szanownego sąsiada, że z muzyką, czyto pannie, czy kawalerowi, otwarta droga w świat szeroki: bo grajkom wszędzie radzi, a uczonych nie każdy rozumie. Ja też to moim dziewczętom zawsze powtarzam, i trzymam nawet w domu Czecha, któregoś sobie umyślnie z Pragi zapisał, aby im w palce rozumu napędził.

— Jużto kiedy panowie sąsiedzi zaczną rozprawiać o wychowaniu swoich córek, to jest czego posłuchać—zawołał pan sędzia—Chcieliby z nich Salomonów porobić, a Bóg widzi, na nie się to nie zdało! Bo i te włoskie trele, i francuzkie *perle, perle*, nie dadzą chleba, kiedy go nie zasiejesz, i nie dadzą grosza, kiedy go nie zbierzesz!

— A wybac pan, panie sędzio, ale tak się niegodzi poniewierać talentami—zawołała z uniesieniem pani baronowa, niegdyś śpiewaczka opery lwowskiej—pan chciałbyś z nas porobić klucznice i kucharki! Już minęły te czasy i nie wrócą więcej.

— To i szkoda! Mościa pani baronowa! Bo co tam światu przyjdzie z tych waszych literatek i artystek? Co im z tego przyjdzie, że zostaną staremi pannami? Rozum i talenta, to rzeczy niepopłatne na szlacheckiej zagrodzie! Ani to kapitał, ani

hypoteka! ale o! próżność i dym!! No, wszak prawda p. Kazimierzu, coś tak pięknie dowodził, że te wszystkie *kopersztychy* i figurki, i kuranty, na licha się zdadzą!?

Pani baronowa zatuliła sobie uszy na takie bluźnierstwa i odeszła na drugi koniec salonu.

Tymczasem Jadwisia z promieniejącem obliczem usiadła do fortepianu. Ciżba wąsatych i brodatych pseudo-znawców okoliła ją murem, a wszyscy nadstawili ucha. Pan Kazimierz słuchał także. Pod jęj drobnemi paluszkami jękła cała mechanika londyńskiego klawicymbału, podłoga zadrżała i odgłos uderzył o sklepienie. Wszyscy w uniesieniu dali huczne brawo. Rączęta Jadwisi skakały ponad klawiaturą; ona sama, stosownie do przyjętej dziś mody, przechylała się na lewo i na prawo, lub odskakiwała od krzeselka za każdym silniejszym akordem. *Capriccio* zakończyło się istnym napadem szaleństwa. Trwoga opanowała obecnych, bo harmonia zamieniła się w przeciągły huk piorunu!

Dla ludzi słabych nerwów, byłoby cokolwiek za uciążliwe, za drażliwe.

Na złość p. Kazimierzowi, panie się popłakały, panowie ruszali wąsami, niby ze wzruszenia; szczęściem nikt nie umarł, jak niegdyś na przedstawieniu tragedji Sofoklesa w Atenach.

Po skończonym popisie panowie zasiedli do kart, panie do plotek, panienki do ploteczek i głupiuteńkich rozmówek o rozmaitych gałgankach, których nazwania nie pomnę.

Wrażenie muzyki przeminęło. Ludzie są tęp, czém byli: ani lepsi, ani gorsi. To, co weszło w ucho, uchem napowrót wyszło, nie zbudziwszy żadnej szlachetnej myśli, żadnej pocziwowej chęci, nie wywoławszy żadnego czynu miłości.

Pan Kazimierz przerzucając na stole jakieś mody paryżkie, głęboko się nad niemi zamyślił, aż go Jadwisia z ironicznym uśmiechem zapytała: czego tam szuka?

— Szukam wrażeń — odpowiedział jęj głosem politowania.

Panienki parsknęły głośnym śmiechem i wyniosły się do ogrodu, wiedząc za sobą cały szereg wielbicieli.

Są ludzie, którzy sobie życiem za życia piszą nagrobki, i oszczędzają potomności kłopotu o nekrologi: „Tu leży człowiek, który się urodził, ożenił i umarł”. A jeżeli się nie ożenił,

tedy pomiędzy dniem urodzenia, a dniem śmierci, bezpiecznie położyć można zero, jako wartość upłynionego życia. Nic pospolitszego nad takie biografie, jeżeli dodamy jeszcze w jakich się uczył szkołach, i czém zarabiał na chleb swój powszedni.

Takich ludzi nazywają powszechnie *bardzo pocziwemi ludźmi!* Oni nie przestąpili zapewne żadnego z dziesięciorga przykazań Bożych we względzie *zakazu*, ale się też nigdy nie domyślili, aby w prawie Boskiem, obok rzeczy zakazanych, były jeszcze i *nakazane* obowiązki. Ich nic na świecie nie zasmuciło, nic nie ucieszyło, do nikogo nie mieli nienawiści; ale też i nikogo nie kochali, nawet podobno i siebie!

Zwierzę się raduje i cierpi, kocha i nienawidzi; roślina czuje wpływ burzy, słońca i rosy; wszystko w naturze żyje wzajemnym pociąganiem, jednoczy się wzajemną potrzebą: bo warunkiem wszelkiego bytu jest życie, a życia warunkiem są czyny!

Nad mrowiskiem spokojnych ludzi nieraz grzmiąły burze powietrzne, płynęły chmury po gwiazdach, krwawe i siarczyste deszcze spadały; a mrówki zbiorami zajęte nawet głowy ku niebu nie wzniosły, aby ujrzeć zkąd te cuda? te zjawiska!? Im dobrze na ziemi, kiedy ciało niegłodne! O duszę, mniejsza troska.

Oh! nieraz przyszło mi pozazdrościć szczęścia tym ludziom, którzy nie znają ani smutku, ani wesela! Bo coto za męka kochać i zawodzić się, nienawidzić i cierpieć, cieszyć się i rozpaczać! To najkrwawszy, najzapamiętałszy dramat odgrywający się na dnie ducha ludzkiego! Wszystko co się z niego na zewnątrz w pewnych kształtach objawia, niczém jest! bo co się łzami wypłaczę, co się skargą świata wypowiada, to jest zaledwie słabym odbłyśkiem burzy wewnętrznej!

Takimi pocziwemi a szczęśliwemi ludźmi byli sąsiedzi nasi od wschodu.

Pan Wojciech siał i zbierał, zapisywał pańszczyznę i sprzedawał wełnę; żona jego smażyła konfitury, urządziła wędliny i bielita płótno; panienki wyszywały kwiatki i ptaszki na wszystkich sprzętach domowych; panicze mieli ku zabawie konie, psy, strzelby i węgierkę. Tam wszystkie dni tygodnia, i wszystkie dnia godziny były do siebie podobne; a ludzie poruszali się jak kółka w zegarku za pomocą ukrytej sprężyny.

Jeżeli piorun uderzył w sąsiednią wioskę, jeżeli grad zniszczył sąsiednie niwy, pan Wojciech wyjrząwszy oknem, mawiał

jak najspokojniej: „Stała się krzywda sąsiadowi z dopuszczenia Bożego, a więc nam się w to nie mieszać; niech sobie radzi jak może; my zostaniemy w domu, bo chmury bokiem przeszły.

Pani Wojciechowa obtarła suche oczy, panienki dalej rachowały ścięgi; i była znów cisza w rodzinie, jak gdyby grzech jakiś ciężył na sumieniu.

I zaiste był tam grzech, o którym przepomniano w katechizmowej nauce; a chociaż przepomniano, on się przecież odzywa w sumieniu naszym i oskarża o brak świętej miłości.

Dajmy pokój ludziom, kamieniom, a idźmy dalej. Jak ludzi apoplektycznych ratują od śmierci krwi upuszczeniem, tak my, umysłowo apoplektyczni, ratujemy się w walce przeciw innej śmierci, wypowiedaniem złych i dobrych myśli naszych; chociaż z góry przekonani jesteśmy, że się one nikomu na nic nie przydadzą; ale nam ciężą, nas bolą!

Wszakże umierać dobrowolnie za prawdę, której świat obecny bluźni i nie wierzy, jest największym heroizmem na ziemi! W świecie pogańskim jeden tylko Sokrates dał życie za nieuznaną ideę; w społeczeństwie chrześcijańskim niezliczone takiego heroizmu widzimy przykłady: i to się nazywa cierpieć za wiarę, za chwałę nieśmiertelną!!

Ale idea, to myśl Boga przed stworzeniem świata,—to dopiero Genезis w przyszłości. Zaś tróję żywota ludzkiego są owo troje: —myśl, słowo i czyn. Wszystko troje potężne, ale jedno bez drugiego zbawić niezdolne.

Myśl płynąca ze źródła światłości przedwiecznej napęłnia cudownie piersi człowiecze. Tam, pracą niewidzialną ducha wydiera się na świat:—pieśnią, słowem, skargą, gromem! Buduje i burzy. Aż nakoniec wypowiada swoje:—*Stań się!* I oto słowo staje się ciałem, rzeczywistością, czynem. Oto Genезis z metafizycznego pojęcia przechodzi w życie i objawia się ową troistą działalnością ducha, który słowem swoim stwarza świat nowy.

Bo myśl—to cień! A czyn miłości—to prawda wielona

.....

Wróćmy do ludzi, zawsze do ludzi, złych czy dobrych; i *gniewajmy się, ale nie grzeszmy*, sądźmy, ale nie gorszmy, i nie wynosmy się z tego, co nam dane jest zrozumieć przed innemi: bo dar proroctwa doskonały jest, lecz dar miłości jeszcze doskonalszy!

Południową sąsiadką naszą była wdowa po wysokim dygnitarzu, a ciotka owego pana Kazimierza, który jako odszczepieniec i prostak, pozwalał sobie ubliżać sztukom pięknym i artystkom, za co też wyklęty został przez synagoge nowój Babilony. Pani dygnitarzowa była gwiazda cudowna przyświecająca całej okolicy wielką pobożnością; dom jej był prawdziwą kaplicą ustrojoną jak święty obrazek: wszystko tam było poświęcone i pobłogosławione, otarte o relikwie jakiego świętego, lub sprowadzone z cudownego miejsca. Jej oratorium, w którym długie na modlitwie spędzała godziny, było istne pieścidelko upstrzone niezliczonym mnóstwem obrazków, krzyżyków, różańców i koronek różnokolorowych, srebrnych i kryształowych lampek, świeczników, relikwiarzy i książek nabożnych, których treści nie pomnę. W tém błogiem ustroniu, gdzie wszystko tak potężnie działało na zmysły, święta pani rozpamiętywała we łzach krwawe dzieje apostołów i męczenników Pańskich.

Wychowaniem jej czworga dzieci zajmował się ksiądz kapelan, i Francuzka sprrowadzona umyślnie ze słynnego instytutu Sacré-Coeur w Paryżu; oprócz tego była w domu bona Angielka, Czech do muzyki, Włoch malarz do rysunków, i jeszcze jakiś reprezentant któregoś europejskiego narodu, do nauk przyrodzonych i do matematyki. Spodziewam się, że z takim zastępem uczonych ludzi, można było zdobyć i przyswoić sobie wszystkie umiejętności, a nawet dojść do stworzenia nowych jeszcze świata nieznanych! Być może. A jednak umiejętność, talent, nauka, to twierdza, niezawsze dająca się zdobyć złotem i kulami. Gdyby było inaczej, gdyby wszystkiego za pieniądze kupić można, gdyby dary Ducha Śgo sprzedawały się na wagę złota, to gdzież byłaby sprawiedliwość Boska? Wszak apostołowie darmo dawali, co darmo wzięli, i potępili symonię jako wbrew przeciwną idei chrześcijańskiej.

A my, cóż robimy? Oto powtarzamy za panią matką paciérz: „za pieniądze wszystkiego kupić można”, i na téj zasadzie otworzyliśmy sklepy na różnorodne towary, tylko że w nich zamiast owocu, często sprzedają próchno, świecące próchno!

Wychowanie człowieka, to zagadka Sfinxa, rzucona przechodniom ku pokusie w ich pielgrzymce ziemskiej; a rozwikłanie téj zagadki ma być człowiekowi śmiercią lub życiem! Któż ją dotąd odgadł i kto ją rozwikłał?

Jeżeli kamieniem węgielnym téj budowy ma być sama umiejętność; to się ród ludzki weźmie do stawiania nowój wieży Babelu i nigdy rozumu swego z niej nie wypłucze, choćby był olbrzymem

o stu głowach! Arcytworami sztuki chcecie rozbudzić w piersi ludzkiej uczucie, a rozbudzać i drażnić tylko stępione zmysły człowieka; formułkami filozoficznymi określacie mu jego przeznaczenie ziemskie, w ludzających obrazach przedstawicie mu jego przyszłość nadziemską, do której ani na nogach, ani na skrzydłach dostać się nie może, i dziwicie się jeszcze, że on, biedny człowiek, samemi idąc manowcami, z pustyni zwątpień wybląkać się nie może!.. Zapalcie przed oczyma jego pochodnię wiary, okażcie mu ideał religijny w najwyższej praktyce życia, dajcie mu poznać prawdę w czynach miłości najwyższej, rozniećcie w nim iskrę żywota wiecznego:—a będzie człowiek, jakim go Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

Ktoś powiedział: życie jest sztuką. Jabyś powiedziała: życie jest naturą rozwijającą się wedle praw postępu, to jest według utajonej, do czasu, myśli Bożej. Ludzie zepsuli życie, stracili przed oczu cel drogi swojej; z tego co było dobrem najwyższem, zrobili złe najwyższe: i dlatego drzewo wiedzy stało im się grzechem, a życie—pokutą za grzechy.

Sąsiedzi zazdrośnem okiem spoglądali na wykwintną pobożność i wykwintną edukacją pani dygnitarzowej. Gdyby zazdrość nie była grzechem śmiertelnym, to zawsze byłaby głupstwem niesłychanym; a w tej okoliczności była jednem i drugim niezaprzeczenie. Ojciec mój, mający u sąsiadów opinią literata, jako *człowiek książkowy*, wszędzie był mile przyjmowany, a z tej przyczyny i nam kobietom wszędzie byli radzi. Jeździliśmy przeto w odwiedziny ku czterem stronom świata, jak to zwykle bywa, żeby się pokazać i zobaczyć coś nowego.

Co do mnie, wypraszałam się od tych przejażdżek, jak od najcięższej kary. Nie byłam już dzieckiem, i nie byłam jeszcze panną na wydaniu: z dziećmi się bawić nie umiałam, a do towarzystwa dorosłych panien czułam wstręt nieopisany. Raziła mnie w nich szczególnie jakaś zalotna próżność, brak osobistej godności, czcność niesłychana w mowie; i patrząc na nie z boleścią myślałam sobie nieraz: I toż są ludzie?—I gorzko mi było z tą myślą. A na mnie, zapewne także z podziwieniem patrzano, i równiennice moje szeptały pomiędzy sobą: cóżto za śmieszne stworzenie!

—Prawda że śmieszne! Grać nie umieć, tańcować się nie uczyła, po francuzku nie mówi... Jak się ona w świecie pokaże, taka niezgrabna, nieśmiała; nie wiedzieć do czego podobna?

—Dajcież jój pokój — przemówiła zcicha panna Irena, córka dygnitarzowej—mama bardzo poważa jój ojca, bo to uczony człowiek;

szkoda tylko, że same heretyckie książki czyta i ma stosunki z ludźmi wątpliwéj wiary. Ojciec Innocenty powiada, iż zbawienie jego duszy w wielkiem jest niebezpieczeństwie...

— To mnie tylko dziwi — przerwała panna Jadwiga — że człowiek uczony tak mało dba o wychowanie swéj jedynaczki, która guwernantki nie miała, i zaledwie lat parę była na pensyi.

— *A propos*, moja duszko, gdzież się podział wasz kuzynek? Czy zawsze taki dziwak? Ostatnim razem ślicznie się popisał na wieczorze u pana Kalasantego. Jadwinia nie może mu darować lekceważenia z jakim mówił o sztukach pięknych; stryjenka baronowa oburzona jest na niego. Ja nie pojmuję, jak wy się z nim zgodzić możecie!

— Kazimierz wyjechał na dni kilka do miasta, pokłóciwszy się przed wyjazdem z ojcem Innocentym.

— Ale, ale, wystaw téż sobie moja najdroższa, że ten prześliczny Karolek, który się ostatniego karnawału chciał zatańcować, zrobił temi czasami niepojęte głupstwo. Pokochał się na zabój w staréj hrabiance, i cały jéj majątek w ciągu dwóch miesięcy przepuścił w karty. Familia hrabianki zrobiła mu proces, a teraz powiadają, że się biédaczek z kozy nie wykręci.

— Czemuż się lepiej nie ożenił z hrabianką dla załagodzenia téj sprawy? przynajmniejby honor ocalił...

— Jakżeż chcesz, kiedy mu Fruzia tak weszła w serce, że tylko dukaty hrabianki mogły mieć przed nią pierwszeństwo... Byłto figiel, nie więcéj.

— Piękny mi figiel, siedzieć w kozie za oszustwo! — odezwał się któryś z podsłuchujących mężczyzn.

— A cóż się stało z Fruzią, z tą śliczną sylfidką, za którą tak nasi panowie przepadali?

— Aha! biédna Fruzia! Tańcowała prawda prześlicznie, ale cóż z tego, kiedy nie miała posagu; tańcem téż majątku zrobić nie mogła. Chybaby weszła do baletu... A więc, koniec końców, żeby starą panną nie została, wydała ją ciotka za mąż, i jest teraz, ni mniej ni więcéj, tylko młodą żoną starego prezesa. Zawsze lepiej, niż starą panną.

— Musi jéj być ślicznie w czépeczku!

— Ale przy starym mężu, bójcie się Boga!

Panna Irena spojrzała na matkę i spuściła oczy; potém zmieniając rozmowę, przerwała:

— Oto pójdźmy, pokażę wam cudną robotę wazon etruski, nadesłany mamie z Rzymu przez jednego z świętych kapłanów naszych, więcęć jako relikwia, niżeli jako arcydzieło sztuki. Miał on być znaleziony w katakumbach pomiędzy kośćmi chrześcian, pomordowanych za czasów Dyoklecjana.

To mówiąc, panna Irena zaprowadziła swoje towarzyszek do gabinetu matki, gdzie poza adamaszkową karmazynową firanką, ukryty był ołtarzyk z alabastrowym krucyfiksem i Madonną Rafaela, a u stóp jego stał ów święty wazon etruski.

Panienki przyklękawszy na znak pobożności i uczczenia świętych relikwii, podziwiała gieniusz etruskiego snycerza; ale podobno nierównie więcęć unosiły się nad koronkowym obruskiem pokrywającym ołtarzyk i prześlicznie haftowanym kłęcznikiem.

Panna Irena prowadząc swoje przyjaciółki do oglądania relikwii, chciała je natchnąć świętymi myślami i oderwać od rzeczy ziemnych; lecz i tu się pokusa próżności znalazła.

— Ciekawam — odezwała się jedna — jak ludzie pozbawieni tych wszystkich prześlicznych ozdób, modlić się mogą? Zkąd oni biorą natchnienie? za co oni Panu Bogu dziękują, kiedy nie widzą świetnych darów Jego?

— Tamci—odezwał się ktoś w gabinecie—tamci modlą się w duchu i w prawdzie.

Panienki krzyknęły, a odsłoniwszy firankę zawołały wszystkie razem:

— A to zkąd pan Kazimiérz?!

— Jak zły duch przybywa—dodał młodzieniec z uśmiechem nawpół szyderskim.

— Cóżto się stało, że kuzynek dziś powrócił?—zapytała panna Irena.

— List odebrałem w drodze, i ten mnie do powrotu nakłonił. Ale nie trwoż się kuzynko, ja się dziś sprzeczać nie myślę; jestem i owszem w usposobieniu nader zgodném, i gotów jestem na wszystko z góry podpisać, wyjąwszy na to, czemu wchodząc w te progi zaprzeczyłem.

— Otóż jest! Spierać się nie chce, a znów wypowiada nam wojnę.

— Ja tylko moje zdanie objawiam, śliczna kuzyneczko, ale narzucać go nie chcę nikomu. Bo i coby mi z tego przyszło, gdybym kogo gwałtem chciał przekonywać? Ja w takie nawrócenie nie wierzę. Strach i słabość ducha, to zbyt krucha podstawa do mojej wiary!

— A jakieżże pan jesteś wiary—zawołała najśmielsza z dziewcząt—czy hussyta? czy hernhut?

— Odstępujemy od rzeczy. Panie mówicie o religii, a ja o wierze; trzeba nam tę kwestyą subtelniej rozebrać...

— Mój kuzynku, my się nie znamy na niemieckiej filozofii i nie wytrzymamy z tobą dysputy; a zresztą niewolno nam wchodzić w takie sprzeczki, bo mogłaby na tém religia uciepnieć...

— Prawo Mahometa każe swoim prawowiernym odpowiadać mieczem na zarzuty innowierców; panie chcecie mi odpowiedzieć milczeniem: niech i tak będzie!

— Oto lepij mówmy o czém inném, mój kuzynku. Powiedz nam, na przykład..... coś takiego, żebyśmy się nie posprzecali. Oto, co widziałeś najpiękniejszego w czasie twoich kilkoletnich wędrówek po świecie??

Kazimierz przyłożył palce do czoła, jakby sobie chciał coś przypomnieć, a potem rzekł najspokojniej:

— W ludziach, czy w naturze?

— Oh! znowu z takim pytaniem!

— Ja potrzebuję wiedzieć, na co mam odpowiadać.

— Niech i tak będzie! a więc w naturze.

— W naturze wszystko jest piękne, o ile ludzie natury nie zeszpecili; ale najpiękniejsze to, co stanowi harmonią świata, to, co wywiera dobroczynne wpływy na rozwój życia...

— Dobrze, ale cóżto jest? to...

— Poczekajcie, moje ładne panie; ja rzeczy odrazu nie nazywam po imieniu, bo rzeczy wielkie, same sobą wypowiadają swoje nazwanie: one nie potrzebują żebyśmy je chrzcili po naszemu... Same panie powiedzcie jak się zowie to, co jest piękne dobrocią, a dobre pięknem, co daje życie i szczęście, co zdobi, cieszy, wznosi, krzepi i daje zbawienie duszom naszym na żywot wieczny..?

Panienki się nie śmiały, bo pan Kazimierz mówił bardzo poważnie.

— Cóż to jest? Świat odpowiada: Bóg; a Bóg czém się ludziom objawił? czém się Chrystus objawił światu? To właśnie najpiękniejsze jest w naturze rzeczy stworzonych, a nazywa się—miłością.

Panienki pospuszczały oczy, i nie śmiały pytać dalej, bo im wytłumaczono, że *miłość* a *grzech*, to jedno. Ale że w mowie młodzieńca, że w głosie jego był jakiś niewypowiedziany urok prawdy, jakaś anielska czystość myśli; więc założywszy rączki, śmieliej spojrzały mu w oczy, i rzekły:

— To bardzo piękne co pan mówisz. Tak, jak gdybyśmy śliczną jaką książkę czytały..... albo poezją naszój wielkiej poetki!

— Ależ to i poezya i książka jest miłością kiedy oświeca, poprawia, leczy i uszczęśliwia.

— A więc czemuż są tacy, którzy nam się każą wypierać tego, co jest takie piękne i dobre!

— Czemu? bo oni sami zeszpecili piękno, i zepsuli dobro; tak, iż pod brzydką, obrzydliwą łupiną, zdrowego jadra poznać nie można.

— No, ale co tam! A w ludziach, w ludziach, co najpiękniejszego widziałeś pan, panie Kazimierzu?

— W ludziach? widziałem to samo, co i w naturze. Szukałem, wszystko brałem w rękę, do wszystkiego przykładam natężone ucho. Smutno powiedzieć czegom się doszukał:—wiele dymu ponad bryłami twardego lodu; a uchem, dosłuchałem się odgłosu *brzaskającej miedzi*. I rozumiałem że to już wszystko! że nie tam pięknego nie masz. Aż poznałem człowieka, który cierpiał długie lata; cierpiał nie za grzechy swoje, bo jemu cierpienie jeszcze było rajem! Utracił zdrowie, rodzinę, przyjaciół; znosił niedostatek i obelgi zaślepionój tłuszczy; zabrali mu wszystko, tylko duszę w ciele zostawili skazując ją na tęsknotę, zwątpienie i rozpacz. Tęj duszy w otchłani uwięzionej tak było ciasno, i tak gorzko, że się modliła krwawemi łzami o ukrócenie męki, jak Chrystus pod drzewem oliwném i z wyżyn Golgoty wołał do Ojca prośbą i skargą! Aż ulitował się Ojciec boleściom tego człowieka, i rzekł mu: „Cierpisz, bo nie kochasz.“ A z temi słowy zstąpił na męczennika jasny promień niebieski, który piersi jego niewymowną napelnił słodyczą; boleści jego osobiste, obecne, zmalowały na ziarno gorczyczne w przestrzeni miejsc i wieków, tak, że ich nie czuł, bo widział miliony podobnych sobie istot wyciągających ręce z téjże samój otchłani! I chrzest miłości spłynął na rany jego cudownym balsamem. Człowiek męczennik całą duszą ukochał cierpiących braci swoich; umarł dla siebie—dla nich ożył! Uczucia w piersi nie zamknął, nie zmarnował, ale wylał je na całe obumarłe stworzenie pieśnią życia, ukojenia i pociechy.

Człowiek ten wśród ludzi był najpiękniejszym, bo cierpiał jak męczennik, a kochał, jak Bóg!

Siedząc w najciemniejszym kącie przyległego salonu, przysłuchiwałam się téj rozmowie z szczególném wzruszeniem, bo usłysza-

łam własną myśl moję wypowiedzianą z takim zapalem, z takim przekonaniem, że w nią koniecznie uwierzyć było trzeba.

Tego samego dnia, wieczorem odczytując sobie listy świętego Pawła do Koryntów, natrafiłam przypadkiem na ów przecudny rozdział o miłości, jako cnocie najwyższej a wiecznej, mającej przetrwać nadzieję i wiarę samą.

Gdy w milczeniu rozmyślałam nad słowami pisma, usłyszałam w tajni ducha mojego jakoby głos mówiący te słowa:

„A podstawą wszystkiego, końcem wszystkiego jest miłość.“

„A zbawieniem, a życiem wiecznym, a królestwem Bożem jest miłość w najwyższym onęj pojęciu, w ostatecznym zjednoczeniu Boga z ludzkością wszechświatów, wszechplanet, gdziekolwiek myśl i uczucie zapanowało nad ciałem rzeczy stworzonych!“

„Alfa i Omega wszelkiego bytu teraz, zawsze i po wszystkie wieki!“

A serafinowie odwóczyli w niebiesiech: Amen, Amen, Amen!

(Dokończenie nastąpi).

